NUMER 8. DNIA 19. LUTEGO 1905 ROKU. ROK XIII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

LATARNIK

HENRYKA SIENKIEWICZA i SEWERYNY DUCHIŃSKIEJ.

I.

W przypisku do „*Latarnika*“ dodaje Sienkiewicz następującą uwagę: „Opowiadanie to osnute jest na wypadku rzeczywistym, o którym w swoim czasie pisał J. Horain w jednej ze swoich korespondencji z Ameryki.*)

Jeżeli zawsze nadzwyczaj pouczającem i ciekawem jest dochodzenie, co posłużyło poecie za temat jego utworu, to w tym wypadku porównanie opowiadania Horaina z nowelą Sienkiewicza okazuje nam najwidoczniej, co potrafi pióro mistrza zrobić z surowego materjału.

W liście XIX. z Kalifornji donosił Horain pod rubryką: „*Siellawa. Latarnia morska w Aspinvall i powieść Murdelio*“ co następuje: (Gazeta polska. Warszawa 1877., nr. 32. z 10. lutego fejleton.) „Gazety nowojorskie doniosły o śmierci ziomka naszego Siellawy, niegdyś obywatela gub. witebskiej. Poznałem go osobiście w czasie pobytu w Nowym-Jorku; przeto mogę udzielić kilka szczegółów z jego życia i jede[illegible] psychologiczny.

Ś. p. Siellawa (nie wiem, jakie miał imię chrzestne) był człowiek wysoko ukształcony, prawy i szlachetny. Miał wszakże jedną, dziwną monomanję: wszędzie, gdziekolwiek przebywał, zdawało mu się, że go szpieguje, ściga i prześladuje jeden z rządów europejskich. Stąd też nigdzie nie mógł zagrzać na długo miejsca, a nawet z nikim utrzymać trwałych stosunków przyjaznych. Zdarzało się często, że po kilka miesięcy nie pokazywał się żadnemu z ziomków i zwykle nie wiedziano, gdzie mieszka. Gnany myślą, że go ścigają i prześladują, po opuszczeniu Europy (zdaje się w roku 1848) zwiedził Przylądek Dobrej Nadziei, Madagaskar, Australję, Amerykę Południową, Środkową i nareszcie Stany Zjednoczone.

Powiadał mi nieraz, że za najszczęśliwsze chwile swojego życia uważa te parę lat, które przepędził na międzymorzu Panama, spełniając obowiązek strażnika latarni morskiej, przed portem Colon-Aspinvall. Obowiązkiem jego było o każdej szóstej godzinie zapalać lub gasić latarnię. Mieszkał o 10 mil od brzegu, sam jeden wśród morza, na samotnej skale, której przez 26 miesięcy nie opuszczał. Co dwa tygodnie przywożono mu żywność, niekiedy żywe ptactwo lub barana (gdyż w tym klimacie mięso świeże pół dnia nie da się przechować). Raz mu przysłano pakę z gazetami i książkami polskiemi i to wygnało go z samotnego raju, w którym żył najszczęśliwszy bez Ewy i węża, jak się sam wyrażał. W liczbie przysłanych książek była powieść Zygmunta Kaczkowskiego: „Murdelio“. Otóż w pewien mglisty dzień Siellawa tak się zaczytał przy lampie w owej powieści, że wiecznem prawem zapomniał zapalić lampę latarnianą. To zmyliło z drogi jakiś okręt i o mało nie stało się powodem rozbicia. Zaskarżono strażnika i Siellawa stracił miejsce. Odtąd znienawidził książki, a każdego, którego podejrzywał o złe względem siebie zamiary, nazywał Murdelio. Przysłanie zaś książek przypisywał intrydze...

W Nowym Jorku pracował po aptekach. Cierpiąc na bezsenność, używał morfiny, czy innego jakiegoś niebezpiecznego lekarstwa, i tem się podobno otruł. Dopiero w kilka dni po jego śmierci ziomkowie dowiedzieli się o tem i pospieszyli pochować“.

---

*) Pisma Henryka Sienkiewicza. Warszawa. 1884. Tom. V. [2] str. 3. uwaga.

Każdy, kto czytał „Latarnika“ łatwo może sobie uprzytomnić po porównaniu notatki Horaina z nowelką Sienkiewicza, w czem polega różnica przedstawienia Siellawy i Skawińskiego u obu autorów. Zmiana nazwisk pociągnęła za sobą daleko jeszcze ważniejsze różnice. Według Horaina zdaje się Siellawie, że wszędzie prześladuje go jakiś rząd europejski; obawiając się szpiegów i ścigania tuła się z jednego miejsca na drugie, nigdzie jednak nie może długo wytrzymać, a co dziwniejsze, przy tem wszystkiem czuje pewną nienawiść do wszystkich ludzi, gdyż z nikim nie potrafi zawrzeć trwałych stosunków. Jest w nim coś chorobliwego, co słusznie nazywa Horain „monomanją“; ta manja prześladowcza zmusza go niejako do opuszczenia Europy i tułania się po całym świecie.

Jakże odmiennie przedstawia się Skawiński! I on też tułał się po wszystkich częściach świata, lecz nie zdawało mu się nigdy, że go prześladują rządy europejskie. Po upadku powstania listopadowego musiał z konieczności tułać się po świecie, bił się w czterech częściach świata — brał udział w wojnie karlistowskiej we Francji, na Węgrzech, a potem w Stanach Zjednoczonych przeciw południowcom. Później starał się chwycić najrozmaitszych zajęć, by utrzymać się przy życiu — lecz wszystkie jego starania pełzły na niczem. „Miał bowiem to nieszczęście, że ilekroć rozbił gdzie namiot i rozniecił ognisko, by się osiedlić stale, jakiś wiatr wyrywał kołki namiotu, rozwiewał ognisko, a jego samego niósł na stracenie“. A nieszczęścia wymienione przez Sienkiewicza, które stały się jego udziałem, zdawały się niejako z lubością właśnie go dotykać. Od ludzi jednak nie wiele doznał złego, przeciwnie miał do czynienia częściej z dobrymi, niż ze złymi. Natomiast prześladowały go cztery żywioły: ogień zniszczył mu warstat kowalski, woda zatopiła tratwę jego na Amazonce, nawet dwa statki, na których służył kolejno jako majtek i harpunnik, musiały się rozbić. Ludzie stykający się z nim tłómaczyli jego niepowodzenia, jak się to zwykle dzieje, tem, że nie ma szczęścia. Biedny tułacz sam w końcu począł w to wierzyć: stawszy się odludkiem „wierzył, że jakaś potężna a mściwa ręka ściga go wszędzie, po wszystkich lądach i morzach“. Mimo tych jednak niezliczonych niepowodzeń Skawiński nie przestał miłować ludzi, przeciwnie miał dla wszystkich serce dziecka! Kiedy na wyspie Kubie wybuchła raz epidemia, rozdał wszystkę swą chininę między chorych poczem sam ciężko się rozchorował. Ten właśnie rys miłości bliźnich i ufność w przyszłość mimo tylu doznanych przeciwności stanowi jedną z najważniejszych zmian, jakie Sienkiewicz wprowadził w swej noweli. Pociąga nas nadto w postaci latarnika jego miłość ojczyzny, która objawia się w najstraszniejszej nostalgji: najdrobniejsza okoliczność przypominająca mu kraj rodzinny, obudza w sercu jego niezmierną tęsknotę za dawnymi laty.

Dalsze rysy charakteru Skawińskiego są również pomysłem Sienkiewicza. Nadzwyczaj trafnie z życia pochwycony jest rys powolnej utraty energji: cierpliwość jego w znoszeniu wszelkich ciosów przechodzi w rezygnację, aż w końcu biedny tułacz pragnie nadewszystko spoczynku. W ten sposób uzasadnia Sienkiewicz, dlaczego Skawińskiemu chodziło tak bardzo o posadę latarnika i dlaczego otrzymawszy ją czuł się tak szczęśliwym.

Dr. Wiktor Hahn.

(C. d. n.)

Baszta prochowa i... Archiwum miejskie.

Oba, wymienione w tytule, przedmioty własności gminy m. Lwowa należą do tych, których posiadanie sprawia zarządowi miejskiemu pewien kłopot: „baszta prochowa“ na Wałach gubernatorskich, z powodu swojego odrapanego wyglądu zewnętrznego i bezużyteczności — archiwum miejskie znowu, dla braku odpowiedniego pomieszczenia. A jednak o tę na pół rozwaloną ruderę na wałach toczyło miasto długoletni spór ze skarbem wojskowym i ostatecznie w r. 1895 kupiło ją za 6000 zł. i to samo miasto od kilku lat przeznacza corocznie kwotę 3000 koron na powiększenie miejskich zbiorów archiwalno-muzealnych! Jest w tem pewna niekonsekwencja, ale właśnie w tej niekonsekwencji mieści się zadatek na monumentalną instytucję, któraby chlubę stanowić mogła i dumę nowożytnego Lwowa, przedmiot podziwu dla obcych, zaszczyt dla kultury lwowskiej i cywilizacji. Trzeba po prostu basztę ową zrestaurować i odpowiednio urządzić, umieścić tam archiwum miejskie i muzeum historyczne, a ten, ktoby się podjął przyprowadzenia dzieła tego do skutku, wystawiłby sobie w pamięci

potomnych, coś, bardzo zbliżonego do pomnika... trwalszego nad spiże.

Myśl zresztą nie nowa. Zaprząta ona już od dawna umysł archiwarjusza miejskiego dra Czołowskiego, zajmował się nią miejski urząd budowniczy, z którego ramienia architekt p. Łużecki sporządził w r. 1896 nawet plany adaptacji baszty prochowej dla celów archiwalnych, znalazła wreszcie ta myśl entuzjastyczny oddźwięk w prasie codziennej i w kołach badaczy przeszłości. Obecnie zaś, kiedy archiwum miejskiemu grozi dalsza poniewierka w nieodpowiednich lokalnościach tylnej części gmachu miejskiego Muzeum przemysłowego, myśl ta zasługuje na jak najgłośniejsze podniesienie i uwagę, tem bardziej, że rozwiązuje odrazu i kwestję pomieszczenia archiwum i samą kwestję rudery, szpecącej dziś Wały gubernatorskie.

Miasta, posiadające długowieczną historję i odpowiednie tej historji pamiątki archiwalno-muzealne starają się zbiory swoje mieścić w budynkach historycznych, któreby już wyglądem swoim, wspomnieniami, otoczeniem wreszcie odpowiadały godnie charakterowi relikwiarza. Boć w archiwum takiem i muzeum pamięć się kryje praojców, najdroższa spuścizna wieków pracy i mozołu, a w lwowskiem archiwum ponadto świadectwa wielkiej i promiennej, ofiarną krwią i pożogą zapisanej przeszłości. Wszakże archiwum miasta Lwowa to bezcenny klejnot, palladium, kryjące w sobie myśl i pracę, walki i znoje całych pokoleń, a pokoleń dzielnych, skrzydlatych, jakich bodaj czy stanie kiedy na świecie. Wszakże to wielki spadek, na który patrząc teraźniejszość, oby poszła śladami wielkich przodków, śladami pracy dla dobra miasta i całej Rzeczypospolitej! Więc skarbnicę ową przeszłości otworzyć na oścież teraźniejszym czasom i ludziom, więc jej wyznaczyć schronienie w gmachu, który sam dla siebie stanowi pamiątkę historyczną — jest obowiązkiem miasta, jeżeli ono ma godnie kroczyć na czele kultury i cywilizacji całego kraju.



BASZTA PROCHOWA, W OBECNYM STANIE.

Dziwnym zbiegiem okoliczności cały krajobraz dokoła baszty prochowej jest jedynym może we Lwowie, który zachował dawny lwowski koloryt, i nigdzie może wspomnienia z większą siłą nie uderzają, jak na tym właśnie skrawku Wałów gubernatorskich. Z jednej strony klasztor Karmelitów, wyniosły, ze śladami zamczystych i obronnych murów u boku, świadek krwawych pogromów i bohaterskich czynów. Tu w r. 1648 i 1655 szalał Chmielnicki, tu w r. 1704 bohaterską legli śmiercią porucznicy Hening i Wąsowicz w walce z najazdem Karola XII. A od proga kościelnego snuje się zielona dziś, drzewami szumiąca sylwetka wałów. Jeszcze na niej poznać zarys dawnych fortyfikacji jeszcze za gmachem gimnazjum niemieckiego widnieją ślady „fosy miejskiej“ i bieleje szlak „furty bosackiej“ i rond „wielkiego beluardu“ przy arcybiskupim pałacu. I dalej za zielonym pasem wałów i szarą płaszczyzną Podwala, co ongi drugą „fosę“ za murem miejskim tworzyło, rozpościera się Lwów taki sam prawie, jak był za dawnych czasów, z dwoma arsenałami, sylwetą cerkwi wołoskiej i dominikańską kopułą.

W takiem otoczeniu rudera stara, prochowa ongi baszta, „*in qua pulvis nitratus Reipublicae deponebatur*“, jedyna pozostałość z dawnych fortyfikacji miejskich, poczyna swoją prawić historję. Nie taka ona sławna, nie taka może wielka, jak onych rodów patrycjuszowskich przesławne dzieje, ale zawsze się nad nią zaduma miłośnik pamiątek narodowych, bo to spory kawał wiekowej przeszłości, jeden ton w epokowych zdarzeń harmonii.

Mieszczaństwo lwowskie ją wystawiło w latach 1554—1556, dla celów obrony miasta i z tym samym monumentalnym zmysłem, który w porównaniu do dzisiejszego, cechował dawne lwowskie budownictwo. Pomimo upływu tylu lat baszta prochowa stoi i stać będzie z pewnością dłużej, niż najnowsze budynki lwowskie. Co więcej nawet, ten

odrapany i walący się niby charakter rudery jest pozorny tylko, bo rząd austrjacki dopiero, pragnąc baszcie nadać bardziej koszarowego wyglądu, kamienne jej mury powlókł płaszczem wapiennej i ceglanej wyprawy, która obecnie pęka i grozi rozpadnięciem się. Same mury niezwykłej grubości murowane są w ten sposób, że kamień zalewany wapnem utworzył prawdziwą opokę, którą nawet narzędziami rozbić trudno.

Materjału do budowy baszty prochowej dostarczył stary arsenał, który równocześnie rozbierano, wznosząc na jego miejsce nowy, po dziś dzień na rogu Podwala i ulicy Sobieskiego stojący. W ten sposób powstał budynek dwupiątrowy na zewnętrznym wale, włączony do fortyfikacji miejskich zapomocą oszkarpowanego bastjonu rawelinowego, który wybiegał na wprost prawie ulicy Kurkowej. Troje drzwi żelaznych prowadziło do wnętrza podzielonego na komory i urządzonego w trzech kondygnacjach za pomocą 59 olbrzymich tramów, które w najlepszym stanie zachowały się po dzień dzisiejszy. Jest to dowodem, z jaką troskliwością wybierano materjał drzewny. Dwóch rajców miejskich wyjechało w r. 1575 umyślnie w tym celu do lasów „starosty bełzkiego“, gdzie materjał ten zakupiono, ażeby zaś starosta „był chętny“ i nie robił trudności w wyborze drzew, ofiarowano mu w prezencie „kobierzec wielki, u Donowaka Ormianina kupiony za 11 złp.“ Tramy owe obrobili i zwieźli na miejsce przeznaczenia włościanie ze wsi Turynki i Butyny.

Nowa baszta, obok swego fortyfikacyjnego charakteru miała główne przeznaczenie jako magazyn materjałów wojennych. Dlatego też akta miejskie nazywają ją stale „*granarium*“ ludność zaś po prostu „spiklirzem miejskim“. Składano tam przedewszystkiem „*pulvis nitratum*“ — proch, saletrę, ołów, w czasach zaś pokojowych odnajmowano poszczególne komory kupcom „dla używania i zbóż wszelkich sypania i chowania“. Nie sprzeciwiało się to wcale ówczesnym pojęciom twierdzy, owszem znajdujemy wielokrotne wzmianki, że nawet baszty miejskie i cechowe wynajmowano czasami... żydom na mieszkanie. W ten sposób wynajmowali magazyny w baszcie prochowej mieszczanie, jak Jan Ubaldyni, Anczowski, dr. Tomicki, Wojciech Kupiński, Attelmajerowa, ławnika żona, a nawet „pani Podkomorzyna Krosnowska“, „pani Podsędzina Ożga“, Jezuici i t. d. Czynsz z tych składów płynął do osobnej kasy *(cassa granarii)*, którą, jak i całym budynkiem zarządzali wybierani corocznie w czasie ogólnej elekcji rajców t. z. *regentes armamentarii et granarii*, po jednym z rajców, ławników i czterdziestomężów.

W czasach pokojowych przeto panowała w baszcie prochowej istna sielanka. W olbrzymich fasach stało tam żyto, jagły, „groch czarny“, krupy hreczane, a właściciele tych prowiantów mieli prawdziwe utrapienie z ptactwem, które im bezczelnie ziarna wydziobywało. Dlatego też zakładano w oknach „kratki niciane, żeby ptaki nie szkodzili“. Skoro zaś wybuchła trwoga wojenna, wtedy znikał z baszty prochowej „groch czarny“ a jego miejsce zajmowały kule armatnie, flintowe, ołów i t. p. w oknach zaś strzelnicowych ustawiano armaty. Pod względem bowiem strategicznym był to punkt bardzo ważny, ze strzelnic jego działa ostrzeliwały ogniem skośnym i frontowym z jednej strony całą przestrzeń po Wysoki Zamek, „Strzelczą górę“, gdzie dziś pałac arcybiskupi, a zdrugiej aż ku klasztorowi Bernardynów i Łyczakowskiemu szlakowi.

Fr. Jaworski.

(C. d. n.)

Wśród obcych.

OBRAZEK Z POWIATU ŚNIATYŃSKIEGO.

Biją w bęben, biją od samego świtu, aż płaczkę Rybnicę, co po kamykach pluszcze, jakby łkała, czując niedolę ludzką, całkiem zagłuszyli. To policjant bębni, bo „pan komisar“ (sekwestrator), sprzedaje werety, poduszki, kożuchy i inne poznaki*), wreszcie i świnkę, trzymaną na sznurku, a krzyczącą, jakby ją rżnęli, a i ostatnią krowę Iwana Nie uważa nikt, że matka i pięcioro dziatek tulą się do starej dobrodziejki swojej i zawodzą jak na pogrzebie. „Pan komisar“ sprzedaje, bo to należności za zaległe podatki, a policjant wali w bęben, że aż w głowie szumi, bo przecież musi okazać swoją moc i władzę — słodko to bowiem pomiędzy braćmi pochwalić się urzędową powagą.

Iwanowi aż krew skrzepła w żyłach, kiedy usłyszał płacz głodnych dzieci, ale od czegoż głowa i miłosierdzie Boże. — W parę dni znalazł się ratunek, przyjechał bowiem do Rożnowa poczciwy Jośko, liwerant z Maruszestie, i w obecności pana

*) Sprzęty.

wójta i innych dygnitarzy zapisał Iwana i dał 40 koron zadatku.

Iwanowi rozjaśniły się oczy i natychmiast pobiegł podzielić się dobrą wieścią z żoną, bo w Mołdawji choć roboty wiele, ale jeść nie żałują, jest kuleszy tyle cebrzyków, że i nie zjadają robotnicy, bryndza i mięso, a Jośko, dobry żydek, obiecał dwa razy na tydzień pół kwarty cienkusza mołdawskiego. A co najważniejsze, że będzie mógł zarobić na kupno jakiej-takiej krowy. W tydzień przyszły pasporty ze Śniatyna i Iwan wraz z towarzyszami wyruszył w drogę.

W późnej jesieni, o wschodzie słońca, na wzgórzu, przed niską, starą chatą, stała kobieta zapatrzona na drogę wiodącą z Trościańca, chuda i nędzna jej postać, troską zorane czoło, dawało jej wygląd o wiele starszy, aniżeli była nią rzeczywiście. — A pusto i głucho było na drodze, wiodącej z Trościańca.

— Gospodarzu mój, gospodarzu mój! na kogoś ty mnie [zostawił?
Gospodarzu mój, gospodarzu mój! co ja mam robić [bez ciebie?
Gospodarzu mój, gospodarzu mój! kto w polu będzie [siał — orał?
Gospodarzu mój, gospodarzu mój! kto nasze dzieci [wychowa?

A pusto i głucho było na drodze, wiodącej z Trościańca.

— Gospodarzu mój, gospodarzu mój! skądże ja wzy- [wać cię będę?
Gospodarzu mój, gospodarzu mój! czy wołać z góry [wysokiej?
Gospodarzu mój, gospodarzu mój! czyli z doliny [głębokiej?

A pusto i głucho było na drodze wiodącej z Trościańca.

— Na coś ty mnie pozostawił?
Ja szukać będę twych śladów —
Z wiosną zakuka kukułka,
Ja się kukułki zapytam:
Gdzie są twe ślady Iwanie?
Odgadnę ślad twój Iwanie —
Czemuś sieroty zostawił?
Zabierz nas — zabierz ze sobą!

A pusto i głucho było na drodze, wiodącej z Trościańca.

W noc krzepką, mroźną, stężało błoto, droga, jak kolce, razi nogę — a tam na nieboskłonie niezliczone gwiazdy płoną złotem i mienią brylantem! bo tam bogactwo — tam skarby! ale nie dosięgnie ich ręka nędzarza. Bo złoto to mamidło szatana — nęci, wabi i kusi człowieka, ale dotknąć się nie da, choć wyciągasz ręce do niego nie dla pychy, nie dla łakomstwa, tylko po kęs czarnego chleba.

W taką to noc kusząco piękną, a straszną, po zimnej, stężałej grudzie, szedł człowiek. — Lekki, łatany serdak okrywał jego postać wynędzniałą i zapadłe piersi. — Na Ryzynej górze spostrzegł wiele świateł w Trościańcu i błogo mu było w duszy — wszak to tylko pół mili do Rożnowa — do domu. Dziś wtorek, jutro wypocznie, a na targu we czwartek kupi dzieciom krowę. Po co mu tych błyskotliwych miljardów, co na niebie płoną?

— Hej! Panie Moszku, otwórzcie trochę, niech spocznę, bo nogi nie służą i dech zapiera.

Gospoda jednak nie dla takich otwarta, i pan Moszko, mieszkający w środku wsi, wyrzucił bez litości Iwana, który niósł pieniądze nie po to, ażeby przepić, lecz kupić krowę dzieciom.

— Ha! odpocznę tu — i usiadł na ławie ciężko Iwan — a potem przed świtem jeszcze zajdę do mojej chaty i drobnych dzieci.

I usiadł Iwan na ławie przed karczmą i patrzył w gwiazdy. — I mroźno i zimno, choć świtać zaczyna — skrzypią wrota i migają światła w okienkach — a Iwan patrzy w gwiazdy.

— Sława Bohu Iwanie!

Lecz Iwan milczy i patrzy w gwiazdy.

— Wstawaj Iwanie i idź do domu, bo żona płacze za tobą.

A Iwan milczy i patrzy w gwiazdy.

— Idź do domu Iwanie, bo w chacie bieda wielka — dzieci głodne.

A Iwan milczy i patrzy w gwiazdy.

Biją w dzwony, biją w Trościanieckiej cerkwi, że aż w głowie szumi. Za trumną Iwana idzie kobieta i płacze.

— Ja szukać będę twych śladów —
Z wiosną zakuka kukułka,
Ja się kukułki zapytam:
Gdzie są twe ślady Iwanie?
Czemuś sieroty zostawił?
Zabierz nas, zabierz ze sobą!

Dr. Mieczysław Grochowski.

Pod trzeciego króla.

(Ciąg dalszy.)

Niebawem przypłynęliśmy pod Dzików. Kościół był zamknięty, ale wtedy jeszcze ludowcem nie byłem, toć jakiś księżyczek otwarł mi takowy. Kościół dość ładny, a uwagę moją zwróciła chorągiew pięknej roboty z r. 1767, z napisem: „Monstra te esse Matrem" (pokaż się matką być) i ładny pomnik Juljusza hr. Tarnowskiego, który w r. 1863, 20. czerwca, poległ od kuli moskiewskiej pod Józefowem. Napisy przy tym pomniku są takie: „I wzmogła się bitwa, aż zapadło słońce, i poległ dnia onego". Mach. I. III. Niżej: „Młodzieńcom mężny przykład zostawię, jeżeli ochotnem sercem, a mężnie za najpoważniejsze i najświętsze prawa poczciwą śmierć podejmę. Lecz ja duszę i ciało moje dawam za prawa ojczyste, wzywając Boga, aby co rychlej narodowi naszemu miłościw był. A jeżeli się przybliżył nasz czas, umrzyjmy mężnie, a nie czyńmy zelżywości sławie naszej, bo lepiej nam umrzeć na wojnie, niżeli patrzeć na niewolę narodu naszego". Mach. Piękny, a stosowny napis, to prawda, ale czy żyjącym przemawia do duszy? Dziś wielu z możnych pluje niejako na to, za co ten dzielny młodzieniec śmierć poniósł.

Westchnąwszy za spokój duszy nieboszczyka, obszedłem w koło ładny pałac Tarnowskich, ale do wnętrza nie mogłem się dostać, bo hr. Jan był w Sejmie, czy w Parlamencie.

A tak by się tu chciało zobaczyć i uściskać ową krzywą szablę czcigodnego hetmana Tarnowskiego, o którego czynach już wtedy nieco wiedziałem, a którego zwycięstwu zawdzięczamy ów stary dzwon Zygmunt, na kochanym Wawelu. Pamiętam, jak usiadłszy na mogiłach Obertyńskich, ubolewałem, że tego zwycięstwa nie upamiętniono na tych mogiłach napisem w twardym kamieniu, albo czemu ich bodaj w koło drzewami nie obsadzono. Smutno, że tylko same mogiły tu drzemią, i boję się, aby chciwa ręka kiedy nie pokusiła się na zniszczenie tej tak drogiej pamiątki. Gdybym był choć 10-tą część tak bogaty, jak potomkowie starego wodza, wiedziałbym co tu zrobić, kiedy naród o tem dotąd nie pomyślał.



DZIKÓW.

Chodząc po ubogim zresztą Tarnobrzegu, ani śniłem ubogi oryl, że za lat 27 w tem samem miejscu będę tak brany na rożen.

I przyszło mi obecnie na myśl, żeby to się było działo za zwycięzcy z pod Obertyna, to sądzę, że jak umiał obronić Orzechowskiego od większej biedy, która mu od biskupów Dziaduskiego i Zebrzydowskiego groziła, toby i mnie się tak nie uląkł, jak jego potomek. Okarłowacieją ci niby wielcy, i to wszyscy prawie. Z kolei płynęliśmy koło starożytnego Sandomierza. Wspaniale usiadł ten gród nad Wisłą, która tu zasilona Sanem robi się już rzeką wspaniałą.

Do tego grodu Leszka białego nie wpuszczają oryli, toć w nim nie byłem, a szkoda mi tego.

Jakób Bojko.

(C. d. n.)

Wystawa akwafort.

Towarzystwo Prz. Szt. Pięknych w Krakowie wystawiło szereg barwnych akwafort zagranicznych artystów, przez co dało publiczności sposobność zapoznania się, z tym działem malarstwa, który w wykonaniu jest bardzo żmudnym i wymaga wprawnej ręki w rysunku.

Lionello Balestrierie układem kompozycji i nastrojem romantyk w całem słowa tego znaczeniu. Lubuje się w refleksach barwnych świateł, kontrastujących z płaszczyznami ciemnemi chociażby nawet w nieswojem miejscu leżały. Przeważna część tematów wyobraża sceny miłosne z życia cyganerji.

Po ośmiu pracach Jaques Villon'a można sądzić śmiało o wybitnej zdolności artystycznej mimo nierównomiernych prac pod względem dobroci. W niektórych miejscach bardzo ciekawy, jak naprzykład tańczące dzieci ujęte w dekoracyjny motyw.

Obraz przedstawiający trzy kobiety jest znakomitym wyrazem impresji w całem tego słowa znaczeniu. Plamy są pysznie utrzymane w tonie a rysunek bardzo sumiennie przeprowadzony; jedynie krzesło, na którem siedzi pierwszo-planowa postać leci w tył nieco. Murzyn unoszący nagi akt kobiety, byłby może jednym z najlepszych obrazów, gdyby nie przesada w atmosferze obrazu i wada w ukształtowaniu aktu kobiety, która robi wrażenie, jak gdyby się miała lada chwila przełamać w pasie. Czuć wprawdzie, że jest jej niewygodnie i że murzyn jest fenomenalnej siły, jednak nogi zawieszone w powietrzu tęgo zbudowanej kobiety drażnią oko swoim ciężarem. Brutalność i ordynarność sceny jest tu wprost genjalnie oddaną przez ciężkość rysunku, ruch i ton w traktowaniu.

Obraz przedstawiający kobietę na wpół rozebraną i leżącą na łóżku twarzą do poduszki jest nieco słabszą akwafortą. Wprawdzie tors z głową jest nieźle rzucony i wciśnięty w poduszki, jednak ukształtowanie nóg zupełnie się nie tłumaczy. W ogóle można śmiało powiedzieć, że Villon jest najzdolniejszym akwaforcistą z tych, których prace są wystawione. Pejzaże Fritza Taulow'a nie przyniosły nic ciekawszego i poważnego. Jednolitość traktowania i pretensjonalna blaga wionie od tych dziesięciu wielkich obrazów. Wszędzie ta sama woda nieco za gęsta i w kłamliwy sposób wyprowadzona w kolorze, gdzie niegdzie smaczki niepotrzebne a co gorsze nadające pejzażowi charakter oleodruku z pretensjami.

C. Osterlinda tańczące hiszpanki dobrze są w pozie ułożone, jednak nie czuć w nich przejścia, i zdaje się jakoby tancerka, skoczywszy w jakiejś pozie, pozostała bez dalszego ruchu, podczas gdy suknia dalej się kłębi dokoła talji w nadzwyczajny sposób — jak gdyby nią wiatr miotał.

Obrazy Charpentier'a (nie wszystkie) przypominają nieco teatralne kulisy a już pejzaż zimowy z jeleniem i dębem jest tak marnym i banalnym, że trzeba mieć specjalną odwagę, ażeby pokazywać podobne obrazeczki

A. Müller należy do artystów, stojących na poziomie zdolności rysunkowej; — w kolorze umiarkowany, chwytający światłocienie we wdzięcznym momencie. Także akwaforty barwne, jak koń, kobieta i sfora psów, albo kobieta na kanapie i pies, są obrazami dość artystycznie pojętymi — nie wynika jednak z tego, ażeby p. Müller nie robił rzeczy miernych a nawet wprost słabych w znaczeniu artystycznem, które mają swoją specjalną nazwę w języku malarskim, jak „knoty“ i „kicze“.

Henryka Detouch'a dwie tancerki są nieźle ujęte w zasadniczym tonie światłocienia przy ruchu nieco demonicznym, potęgującym się przez cień rzucony na ścianę.

Bernard B. de Mouvel ma kilkanaście akwafort, z których każda dla siebie jest jeżeli nie dziełkiem, to w każdym razie doskonałą pracą artystyczną pod względem rysunku i koloru.

Wypadałoby właściwie każdy obraz z osobna omawiać, jednak zajęłoby to za wiele miejsca, przeto wymienię tu tylko kilka prac.

Wyśmienicie narysowany mężczyzna na łokciu podparty, tyłem stojący z jedną nogą zgiętą w kolanie (przez co linja torsu i nóg sprowadzona nadzwyczaj wdzięcznie) jest w traktowaniu impresyjny, o kolorycie nieco przyćmionym i sprowadzonym do jednego tonu sienny.

Całość jest nad wyraz doskonałą.

Profil mężczyzny w płaszczu, ginący w tonie, jednak wyrazisty z plamą światła na pole płaszcza, jest również wyborny, może nieco za mało impresji z powodu wyrazistości — a już ludzie ciągnący łodzie są arcydzielnie chwyceni w ruchu.

Bezwzględnie jest to talent pierwszorzędny, zupełnie odrębny od Jaques Villon'a.

„Retour au chateau“ i jeździec z psami na polu E. P. Pinchon'a nie wychodzą jako prace po za ramy zwykłej dobrej roboty.

Adhémar'a Bellangé obraz przedstawiający zmrok nad wodą jest wcale niezłym. Światło księżyca ze światłem ogniska na łodzi kontrastuje

wybornie a co ważniejsze to to, że kontrast ten nadaje tym dwom światłom blasku. Pozostaje jeszcze kilku akwaforcistów, u których nie widać nadzwyczajnych zdolności albo ich wcale niema, sądząc po wystawionych obrazach.

Taki obraz jak „La promenade d' Hyde Park“ J. François Raffaelli'ego jest rzeczą chybioną. A Charbonian dał rzeczy mające coś wspólnego z fotografjami artystycznemi.

Chr. Huard'a obrazki są drobiazgowe i banalne.

Nic nowego nie dał Eugen Delatre, Borel, Bejot i inni.

Równocześnie z wystawą akwafort urządzoną jest wystawa rzeźb Góralczyka, Wyczółkowskiego pejzaży i innych, o których wspomnę w dalszym ciągu.

Rom. Czaplicki.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

KSIĄŻKI. *E. Verhaeren, Jutrznie przekład Marji Markowskiej, Kraków nakładem „Książki“. Warszawa G. Centnerszwer i Spka.*

Verhaeren należy do najwybitniejszych przedstawicieli młodego ruchu literackiego w Belgji. Doskonałą charakterystykę twórczości tego poety dał Miriam w swoim „wstępie“ do przekładu dramatów Maeterlinka i tam też ciekawych czytelników odsyłamy. Omawiany dramat (podobnie jak i inne utwory Verhaeren'a) daje wyraz najogólniejszemu ideałowi ludzkości — idei zgody i pojednania, idei „zabicia wojny w jej krwawej postaci“. Rzecz, jak widzimy, dzisiaj bardzo aktualna.

Poeta pozwala ludzkości dożyć tych prawdziwych i świetlanych „jutrzni“. A zapala je nad światem duch jednego tylko człowieka, potężnego zaparciem się, miłością ludu. Tym człowiekiem jest Hérenién. Odmienny on od innych demagów. Nie chce nic dla siebie; zaprzepaszcza własne szczęście, odrzuca osobiste korzyści, które mu się same do rąk cisną, nie zważa na korzystne propozycje Rejencji, rezygnuje z politycznej władzy nad ludem, jednem słowem objawia na każdym kroku „brak rozumu politycznego“ — i w tem właśnie jego ogromna siła i moc nad sercami. On jeden zmierzył odwagę potrzebną do tego, by się stał dzień nowy. Jego to książki rozjaśniły głowy tłumu, a „taki człowiek jest ludowi w chwili ciężkiej za Boga“! To też nie dziw, że jest człowiekiem tej miary, iż lud zbyt długo musiałby róść duszą, by go pojął i poznał.

Miasto Oppidomagne, klejnot i pycha cywilizowanego świata, oblężone przez nieprzyjaciół. Rejencja miasta zarządza obronę i tysiące trupów pokrywa pole. A wewnątrz miasta ucisk ubogich robotników, tłumu. Oburzony do żywego lud usuwa się od obrony miasta i urządza (jak niegdyś w Rzymie) secesję na Awentyn. Rejencja zwraca się do wpływowego Hérenién'a o pomoc. A on, zamiast wykorzystać sytuację, zamiast przy pomocy zbuntowanych opanować miasto, nakłania lud do powrotu.

Niedługo okrzyknięto go zdrajcą, Rejencja bowiem nie dotrzymała poczynionych tłumom obietnic. Ale Hérenién w jednej mowie na nowo umie odzyskać przychylność ludu i staje się właściwym panem miasta. Władzy tej używa do ziszczenia swego ideału — bratniej zgody. Wbrew woli rządu i wodzów następuje zbratanie wrogich ludności.

Otwierają się bramy miasta Oppidomagne. Wojsko nieprzyjacielskie wpływa tłumem do miasta i brata się z ludnością. Wielka idea pokoju osiągnięta; już nigdy nie będzie wojny na świecie!

W chwili jednak ogólnej radości ginie Hérenién z rąk żołnierzy Rejencji — ginie od ostatniej kuli.

Wzburzony tłum wali posąg Rejencji.

Z tego widzimy, że poeta oddał w tym dramacie swój talent na usługi idei i jest w utworze swoim tendencyjnym. Zarzutu z tego robić mu nie myślimy. Że skutkiem podporządkowania strony artystycznej dzieła stronie ideowej wynikły różne niedogodności, o tem nie trzeba nawet wspominać. Dramat obfituje (jak wszystkie tego rodzaju utwory) w długie i sentymentalne deklamacje, brak w nim miejsca na dokładne odmalowanie charakterów i dokładne usprawiedliwienie wszystkich sprężyn akcji dramatycznej. Na sceniczności jednak (co jest dowodem dużej sztuki poety) dramatowi nie zbywa.

Przekład p. Markowskjej bardzo dobry. *Te. M.*

ZAPISKI.

Miedziane ołtarze. Oryginalnego odkrycia dokonał prof. szkoły przemysłowej p. Kühn, zajmujący się restauracją obrazów w lwowskim kościele Jezuitów. Oto po przypadkowem odskrobaniu lakieru na jednym z ołtarzów, okazało się, że cały ołtarz zrobiony jest z blachy miedzianej, kutej. Toż samo znaleziono także w pięciu innych ołtarzach jezuickiego kościoła. Ołtarze te wykonane zostały w połowie ośmnastego wieku, a ponieważ miedź rychło śniedzieje i nieznano wówczas sposobów utrwalania jej blasku, więc z konieczności pomalowano je lakierem imitującym marmur. Obecnie postanowili Jezuici zdjąć lakier i ołtarze wypolerować. Będzie to bardzo oryginalny i jedyny w swoim rodzaju widok sześciu ołtarzy od góry do dołu miedzianych Wprawdzie artyści niektórzy, których pytano o zdanie, oświadczyli się przeciwko tego rodzaju odnowie, twierdząc, że ołtarz taki miedziany wyglądać będzie jak kuchenny rondel lub samowar, ale to zdaniem innych znowu znawców nic nie szkodzi, a samemu kościołowi doda niezwykle oryginalnego piękna. Ołtarze te zbudowane są w stylu barokowym i z ozdobami metalowymi, w ogniu złoconymi.

Drukiem W. A. Szyjkowskiego, we Lwowie, ul. Kopernika l. 5.